Rok VIII. Kraków, 15. czerwca 1914. Nr. 1.

Członkowie Sekcyi Turystycznej T. T. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

TATERNIK

Prenumerata wynosi: 4·80 K., (2 rub., 4 M.) rocznie z przesyłką

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

Wychodzi sześć razy do roku pod redakcyą komitetu.

Adres Redakcyi: Mieczysław Świerz, Kraków, Dębniki Rynek 4.
Adres Administracyi: Kraków, Andrzeja Potockiego L. 4., Tow. Tatrz.

Prenumerata dla Członków Towarzystwa Tatrzańskiego wynosi 3 kor.



TATERNIK.

Rok VIII. Kraków, 15 czerwca 1914. Nr. 1.

EDWARD JANCZEWSKI.

Z alpejskich wspomnień.

Pięknie się zapowiadał dla mnie ubiegły sezon w Alpach. Doczekawszy się końca deszczów nad brzegami „modrego“ Lemanu, który jednak był stale ołowiano-szary, spakowałem na prędce książki, mapy, instrumenty oraz... przybory turystyczne i ruszyłem w teren, do pracy.

Przeciągły gwizd elektrycznej lokomotywy — stajemy u celu: Orsières! tout le monde descend! Za chwilę jestem już w hoteliku, mojej głównej kwaterze zeszłorocznej, a po serdecznych przywitaniach z gospodarzami zasiadam do śniadania, które mi podają na werandzie. Radość, że znów jestem w górach, w jednej z najulubieńszych okolic, gdzie obok barwnej, pogodnej doliny sterczą dzikie krzesanice i lodem pancerne olbrzymy, tak dalece mnie opanowała, iż bez zmarszczenia się wypiłem kawę, choć w niej kawy nie było ani odrobinki, i patrzałem... Porwała mnie nieopanowana chęć dostania się czemprędzej w świat turni i śniegów i skrzepienia się w przeczystej atmosferze szczytów. Bez namysłu ofiarowuję sobie dwudniowy urlop od pracy, ładuję trochę zapasów do worka, biorę czekan i kieruję się na razie do Champex. Tam mam znajomych, może co razem zrobimy. Po niespełna godzinnem wspinaniu się wyborną drogą w zakosy wśród lasu, dochodzę do jeziorka. Moc hoteli i pensyonatów, więc trudno

odszukać kogoś, nie wiedząc gdzie mieszka. Po bezskutecznych poszukiwaniach, dochodzę do drugiego brzegu, skąd widok najładniejszy: w spokojnej tafli stawu odbija się tonący w blaskach słońca masyw Grand Combin, jakby jakaś szklana góra z bajki.

Opuszczam teraz te piękności, zbyt ucywilizowane, podobnie jak nasze Szczyrbskie i skręcam w boczną dolinkę, która przypomina nieco Dolinę Zimnej Wody. Po dwóch godzinach staję wreszcie na przełęczy Col de la Breya (2412 m).Teraz już jestem na prawdę w świecie górskim. Podemną wprost, sucha, jałowa dolinka, zawalona olbrzymiemi złomiskami, uchodzi w lewo do głównej doliny Val Ferret, której dna nie widać, ale można go się domyślać o półtora tysiąca metrów poniżej przełęczy. W tamtej stronie widnieje też ciągle olbrzym Combin, a za nim na prawo zgrabna piramida Mont Vélan.

Trawers z przełęczy do górnego piętra tej suchej dolinki prowadzi przez szerokie piarżyska i spore łachy brudnego śniegu. Z piętra owego widać już wysoko w górze dach schroniska. Rzekłbyś, że za kwadransik się dojdzie, ale znam ja te złudzenia, więc bez ceremonii urządzam sobie odpoczynek i fajkę zapalam.

Schronisko zastałem puste, rad nie rad muszę sam się zająć obiadem, bo gazda może nie wróci do wieczora. Zupa oczywiście grochowa, makaron na świeżem maśle zapiekany i kompot z puszki — oto treść mojej lukullusowej uczty; a jeśli dodam, że na zakończenie wyborna herbata i fajka wypalona przed schroniskiem na kamieniach, to każdy zrozumie optymistyczne usposobienie, w jakiem się znajdowałem. Gdy słońce przestało dogrzewać, a ostrzejszy chłód powiał od lodowca, wróciłem do izby dla rozważenia planów na jutro. Pogrążony w głębokich studyach nad przewodnikiem Kurz'a, słyszę zbliżające się głosy kilku osób. Zakląwszy szpetnie, obracam się, żeby zobaczyć, kto mi wydziera panowanie nad schroniskiem i poznaję moich znajomych, których darmo szukałem w Champex.

Okazuje się, że pan R. chciał swoim paniom pokazać kawałek tego przepysznego świata lodowców i iglic grupy Mont Blanc, a sam skorzystać ze sposobności i przeprowadzić badania geologiczne w najwyższych częściach terenu. Umawiamy się, że pójdziemy razem; ja mam prowadzić. Postanawiamy wyjść na Aiguille du Tour (3548 m), szczyt łatwy, a dający widok nieporównany na cały łańcuch Mont Blanc.

Nazajutrz o świcie cztery nasze postacie posuwały się zwolna szczytem lewej moreny lodowca Orny. Doszedłszy do jej górnego końca, skręciliśmy w lewo na lodowiec, pokryty dość grubo śniegiem. Odtąd szliśmy uważnie i pomału, ale nie wiążąc się liną, bo szczeliny były bardzo rzadkie, a śnieg trzymał mocno. Dzień zastał nas już niedaleko Col d'Orny, rodzaju siodła lodowcowego pomiędzy Glacier du Trient a Glacier d'Orny. Tu, na prawo stoi schronisko „Cabane Dupuis" (3230 m). Górna część lodowca Trient jest bardzo mało stroma i tworzy kocioł o dwu przeszło kilometrach średnicy, zewsząd otoczony niewysokimi wprawdzie, ale wspaniale rzeźbionymi

szczytami. Na lewo od nas kilka ostrych turni należy jeszcze do masywu Portalet, dalej parę siodeł śnieżnych poprzedza wspaniały łańcuch Aiguilles Dorées. Poza niemi wyzierają ostre krzesanice Wideł (Grande Fourche), a jeszcze dalej kolcami najeżona grań Chardonnet. Wprost przed nami śnieżny grzbiet łączy Petite Fourche z grupą iglic, z których najwyższa, to dwuszczytowa Aiguille du Tour.

Pogoda wymarzona. Niebo bez chmurki. Śnieg mrozem ściśnięty, trzyma doskonale, tak, że chodzenie staje się rozkosznym spacerem. Aby nie tracić na wysokości, zataczamy łuk popod Aiguilles Dorées, których zawrotne ściany spiętrzają się teraz nad nami. Patrząc w dół lodowca, ku północy, widzimy Dent du Midi, za nią Alpy Chablais skąpane w rannem słońcu, a widnokrąg zamyka granatowa wstęga Jury. Spoglądając ku naszemu celowi, Aig. du Tour, odkrywamy sporą gromadę turystów, powoli wznoszących się po stromym lodowcu u stóp skalnego masywu. Perspektywa spotkania się z dwudziestu osobami na szczycie nie bardzo nam się uśmiecha. Tymczasem doszliśmy do końca łańcucha Aig. Dorées i na lewo mamy niedaleko przełęcz Fenêtre de Saleinaz, jedną z najciekawszych, jakie można tu widzieć. Wśród turni i iglic o najdziwaczniejszych kształtach, otwiera się wązka szczerba, do której dochodzimy po płaskiem polu śniegu. Po drugiej stronie, strome, zawalone śniegiem żlebisko spada o kilkaset metrów niżej na lodowiec Saleinaz.

Widok nie rozległy, ale uderzający: trzy potężne szczyty opadają niesłychanie stromemi, przetykanemi śniegiem ścianami na lodowiec. Są to Aiguille d'Argentiere, Aiguille de la Neuva i Tour Noir. Ponieważ jest jeszcze wcześnie, zatrzymujemy się dla zastanowienia nad dalszym planem. Ten tłum ludzi pchających się na obrany przez nas szczyt stanowczo zraził nas do niego, tembardziej, że widzimy doskonale, jak im niesporo idzie przeprawa przez szczelinę brzeżną. Przełęcz nasza jest wcięta między Aiguilles Dorées a Petite Fourche, która tylko o trzysta metrów nas przewyższa; przedkładam więc, żeby zmienić projekt i zamiast na Aiguille du Tour, pójść na Petite Fourche, na którą da się wprost wyjść od przełęczy. Wprawdzie nie słyszałem, żeby kto tędy wchodził, wiedziałem tylko, że część grani była już robioną.

Pani R., czując się nieco zmęczoną, postanowiła czekać na nas na przełęczy, polecając siostrę naszej opiece. Tak więc ruszyliśmy tylko we troje, co było o tyle lepszem, że posiadaliśmy jedynie 20-metrową linę, za krótką nawet na trzy osoby. Wobec tego szedłem przodem bez asekuracyi, a tylko moi towarzysze się związali. Z początku mocny, twardy śnieg pomimo dość stromego spadku nie sprawiał nam kłopotu, lecz już o kilkadziesiąt metrów wyżej musiałem zacząć wybijać stupaje nogami, obawiając się zbytnich trudności dla naszej towarzyszki, która nigdy większych alpejskich wycieczek nie odbywała. Chciałem zawrócić na lewo, ku grani, ale przebłyskiwał tam czysty lód, zmuszając nas do wspinania się wprost ku górze, coraz stromiej. Wkrótce okazała się i u nas konieczność rąbania na

seryo czekanem. Śnieg stawał się coraz twardszym, a nachylenie się zwiększało. Kułem jak można było najszybciej, wiedząc z doświadczenia, jak deprymująco działa na początkujących nieskończenie długie stanie w niewygodnych stopniach. Wreszcie docieram do skał północnej grani, po dwu godzinach ciężkiego rąbania. Towarzyszka nasza wytrzymała próbę ponad wszelkie pochwały.

Kilkanaście metrów łatwej grani doprowadziło nas w parę minut do szczytu (3520 m). Potężne bloki tego pysznego, zdrowego granitu (Protogine) osłoniły od wiatru, który nas zbytnio ochładzał przy wyjściu; słońce dobroczynnemi promieniami ogrzało nas rychło, pozwalając na długie rozkoszowanie się widokiem, który w niezmiernym przepychu przed nami się otwierał.

Z olśniewających białością kotłów lodowcowych strzelały w niebo smukłe granitowe wieżyce, ówdzie znów piętrzyły się posępne pionowe niemal mury, uwieńczone szeregami igliczek, niby blankami misternie kowanemi. A wszystko, skąpane w blasku, stawało się jakieś lekkie, powiewne, jakby nierzeczywiste.

Z kolei zwróciłem oczy na wschód. Tu głęboko w dole, otwierało się nasze „okno“; tuż za niem grań jednym rzutem wznosiła się o blisko trzysta metrów. Dalej poprzez skalne konie, poprzez przewieszone progi, to w lewo, to w prawo zbaczając, wznosiła się do najwyższego szczytu Aiguilles Dorées, zwanego Aiguille de la Varappe. Na lewo od grani, gładko ścięte północne ściany gubią się w cieniu, na prawo widać jak na dłoni żleb Hochreutinera. Teraz dużo w nim śniegu, nie tak, jak w przeszłym roku...

Przypomina mi się z niezwykłą plastyką, jak rok temu, opuszczony przez towarzysza na Fenêtre de Saleinaz, potem odparty od ostatniego progu na wschodniej grani Grande Fourche, postanowiłem samotnie pokonać Varappe. Była wtenczas dziesiąta rano, pogoda równie wspaniała jak dziś. W dolnej części żlebu dobry śnieg dawał wyborne oparcie dla raków, wyżej musiałem już rąbać stopnie, bo pod cienką warstewką śniegu czaił się zdradliwy lód. Ostatnich kilkadziesiąt metrów dawało mi dużo do myślenia: skały z obu stron całkiem nieprzystępne — w żlebie na gładkiej i mocno stromej (65^0) skale kilka centymetrów lodu — południe niedaleko, a słońce praży... Trzeba się spieszyć; ostrożnemi uderzeniami czekana robię zacięcia w lodzie, byle tylko parę zębów miało się o co zaczepić. Wreszcie wydostaję się na skały i po paru minutach osiągam siodełko u nasady lewej grzędy żlebu. Krótki odpoczynek, zostawiam worek i czekan i z liną tylko próbuję pokonać przewieszkę zagradzającą drogę ku szczytowi. Pomimo najgwałtowniejszych wysiłków nie mogę dostać do widocznego chwytu. A no nie puści, poszukajmy obejścia. Na lewo niema co próbować, na prawo za to odkrywam załupę, ta sprowadza mię w dół na półeczkę, którą trawersuję dalej na lewo. Krótki ciasny kominek pozwala mi przejść na wygodny zachodzik, biegnący kilkanaście metrów po-

niżej grani. Jestem na południowej ścianie masywu. Ale ściana pionowa, chwytów żadnych; o jakie 4 metry nademną jeszcze dalej na prawo wystaje ze ściany odpęknięta płyta. Wąziutka szczelina doprowadza mnie między ścianę a płytę; zaklinowany lewą nogą i ręką, prawą szukam chwytu — bezskutecznie. Trzeba zapieraniem podsunąć się wyżej i złapać górną krawędź płyty. Przy tych próbach kolano zacina mi się w szczelinie i nie mogę się ruszyć; dopiero po długich, a wielce zabawnych borykaniach się z kamienną pułapką udało mi się wyswobodzić i osiągnąć stopień na płycie. Odsapnąwszy dobrze, po skąpych ale dobrych chwytach wciągam się na grań i po ostrym koniu podjeżdżam do bloku szczytowego. Dwie równoległe i pionowo ustawione płyty tworzą szczyt. Zardzewiały gwóźdź od buta jest jedynym dowodem, że ludzie tędy przeszli; zabieram go na pamiątkę. Widok cudowny nie przeszkadzał mi oddawać się dobrze zasłużonemu wypoczynkowi. Niezapomniane to chwile, samotnie spędzone na szczytach po ciężkiej walce zdobytych.

Pół godziny minęło; wstałem, by jeszcze raz rzucić okiem w około. Aż oto u stóp moich po lodowcu porusza się leniwo karawana z czterech osób. Nie wytrzymałem i huknąłem na całe gardło, niech wiedzą, żem tu wysoko nad nimi, swobodny, tryumfujący. Usłyszeli. Odpowiadają, kiwają kapeluszami. Miłe mi to jak Zeusowi dym z hekatomby; łaskawie im się odkłaniam kapeluszem. Oni tymczasem ruszyli ku schronisku; widzę jak się zapadają w miękkim śniegu; czas nagli! niewiele mi lina pomoże na lodowcu. Ze zdwojoną szybkością schodzę aż do odpękniętego bloku, puszczam się na linie, potem jeszcze jeden zjazd i jestem na półeczce, a w chwilę potem przy moich rzeczach na siodełku. Dochodząc do żlebu, stwierdzam z niemiłem uczuciem, że z wykutych przy wchodzeniu stopni prawie nic nie zostało! Żar słoneczny, topiący ostatnie ślady moich rannych stopni, stępione kolce raczków nie dające pewnego oparcia dla stóp, konieczność rąbania w dół bez asekuracyi, na przeszło 60 stopniowym spadku, sprawiły, że przeżywałem wtedy najcięższe chwile walki z przyrodą górską. Bez wypadku dostałem się do niższej części żlebu; śniegu tu było aż nadto, ale druga bieda; lada chwila pojedzie w dół lawina. Z największą ostrożnością postępuję krok za krokiem, zapadając się powyżej pasa. Nagle czuję, że coś mnie pcha z tyłu i podcina nogi. Jedziemy! Staram się utrzymać równowagę, ale nie udaje się, leżę na wznak i gnamy coraz szybciej, śnieg kłębi się, faluje i przewraca mnie na bok lecz w tej samej chwili słyszę szum silny, coś mnie znów z tyłu mocno podrzuca. Stoimy. Wydobywam się z porozbijanych w gruzły kup śniegu i z zadowoleniem stwierdzam, że jestem zdrów i cały. Usłużna lawina oszczędziła mi trudu zejścia ostatnich stu metrów żlebu. Przekąsiwszy coś na prędce, pognałem co sił na przełęcz i przebrnąłem szczęśliwie całą szerokość lodowca aż do Cabane Dupuis. Na brzegu lodowca czekał na mnie mój towarzysz i witał mię niekłamanymi objawami radości. Dowiedziawszy się bowiem od owej grupy turystów, że jakiś samotnik wylazł na Aiguille de la Varappe (widzieli oni moje

ślady wchodzące do żlebu Hochreutiner'a) był przekonany, że skręcę tam kark. Wszyscy zgromadzeni w schronisku turyści i przewodnicy orzekli, że droga, którą szedłem, jest nowym waryantem, co pociągnęło za sobą tyle interwiewów, że wolałem umknąć do dolnego schroniska i zachować ścisłe incognito...

Wiele innych jeszcze wspomnień cisnęło mi się na pamięć. Różne epizody ze zwycięskich zapasów z rozhukanemi mocami przyrody mięszały się z obrazami odwrotów i klęsk; i byłbym jeszcze długo się zabawiał przypominaniem tych chwil rozkosznych, gdyby nie głos pana R. nawołujący do odwrotu — inną drogą.

Teraz skierowaliśmy się na grań północną, śnieg dobry nie wymagał robienia stopni, więc raźno posuwaliśmy się naprzód. Jedyne strome miejsce, gdzie kruche skały wynurzają się z pod śnieżnego okrycia, sprawiło nam trochę kłopotu i zmusiło nas do obejścia po stronie Trient. Poprzez Col Blanc, Tête Blanche na lodowiec Glacier du Tour, skąd przez Col du Tour na Glacier du Trient i po miękkim, zapadającym się śniegu do opuszczonej towarzyszki na przełęczy.

Tatry w lecie i w zimie.

Kto bacznie obserwował postępy naszej turystyki w latach ostatnich, tego uderzyć musiał szczególniejszy fakt, że wraz z zapałem okazywanym dla górskiej zimy, wśród ogółu wzrasta coraz bardziej obojętność dla taternictwa letniego. Coraz częściej można dziś spotkać „zimowych" turystów, nie mających pojęcia jak góry latem wyglądają, a również taterników, którzy po odbyciu kilku wycieczek narciarskich, zapadają na wiosnę w kilkumiesięczny sen i budzą się dopiero w czasie, gdy przyjdzie pora znowu wydobyć narty ze strychu. Zdarza się nawet, że niektórzy przechodzą po intenzywnym sezonie zimowym do gorliwego uprawiania... wioślarki, nie widząc w lecie innego pola dla swej sportowej ekspanzyi.

Przyczyny tego charakterystycznego zwrotu są rozliczne. Jedną z najgłówniejszych jednak stanowi twierdzenie, iż Tatry w zimie są piękniejsze i więcej dają człowiekowi niż w lecie, twierdzenie rzucone przez jednostki, a podchwycone przez propagatorów narciarstwa bezkrytycznie, bez głębszego wniknięcia w istotę zagadnienia. Czuję doskonale, że wszelkie — na osobistych jedynie odczuciach oparte — spory, co ładniejsze, co brzydsze, są jałowe i z zasady nie doprowadzają do porozumienia, zwłaszcza, że każdy uważa się tu za nieomylną wyrocznię. Mimo to chciałbym pokusić się o wykazanie, że twierdzenie powyższe jest niesłychanie jednostronne i że dla pewnych typów taterników, którzy szukają przedewszystkiem bezinteresownego współżycia z przyrodą, a więc przedstawiają, mojem zdaniem, najbardziej do ideału zbliżony typ turystów — zima tatrzańska nie może dać tego, co znajdują oni w górach latem. Nie chcąc być mylnie zrozumianym, zaznaczam z naciskiem, iż nie chodzi mi tutaj o wartościowanie letniej i zimowej gałęzi sportu górskiego. Zagadnienie przezemnie poruszone dotyczy jedynie uczuciowego stosunku człowieka do gór, tj. opiera się na nieza-

przeczonym fakcie, że jednym z głównych motorów, dla których dążymy w góry, jest pragnienie zapomnienia wszystkiego, co nas w codziennym dniu przygniata, wyzbycia się wszelkich myśli, przypominających niemoc człowieka wobec nacisku życia, pragnienie oderwania się niejako od ciała i wpłynięcia we wszechbyt, gdzie jest tylko cisza i pogoda; chęć zarazem poczucia nieokiełzanej niczem swobody, chęć działania jedynie tego, co mi wola dyktuje, a nie przymus i obowiązki.

Uczucie, które daje ów upragniony „spokój wobec życia i śmierci, mówiąc o wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu" — to uczucie, jakiego doznajemy, patrząc ze szczytu na zwichrzone wokoło kłęby wirchów, słonecznym kręgiem nizin objęte. Człowiek legł na ciepłych wantach i puszcza bez troski wzrok w dale. Nie istnieje dla niego w tej chwili nic, jeno ten cudny świat, w który się zapatrzył i w którym zatraca się jego dusza. Milkną w nim tęsknoty, pragnienia, myśli, zasklepiają się przyniesione z dolin rany i draśnięcia. Człowiek i natura zlewają w niewyodrębnioną jedność, w której giną granice między wewnętrznem a zewnętrznem, w której jest tylko jedna słoneczna cisza i harmonia. Chwile takie, to momenty najgłębszego, do dna duszy sięgającego, dobroczynnego wpływu przyrody na człowieka i najściślejszego związku między tymi dwoma światami. Rzucają one zasłonę na wszystko, cośmy tam w dole pozostawili, pozwalają zapomnieć o wszystkich nizinnych udrękach i zmartwieniach, łączą i bratają z życiem. Toteż przybici szarzyzną dnia codziennego, z utęsknieniem zwracamy myśli przedewszystkiem ku tym właśnie jasno w naszej pamięci święcącym wspomnieniom chwil, w których nam tak lekko i tak dobrze było. Lecz, by przyroda mogła wprowadzać nas w ten stan kontemplacyi i usypiała mącące nastrój refleksye, trzeba pewnych specyalnych czynników, pewnego odrębnego podłoża. Jest niem, mojem zdaniem, ciche, pogodne tętno życia natury, któremu bezwiednie podlegamy, i które sprawia, że czujemy się włączeni w ten potężny rytm kosmosu. Trzeba więc, aby świat tonął w słońcu i blasku, aby góry przyoblekły się w błękitnawe przymglenie, ścierające z nich wszelką grozę, by z dolin i jasnych hal tryskała ku nam kojąca radość, by w jary zagrzebane potoki lśniły jak żyłki srebra i przemawiały dalekiem, sennem szemraniem, by stawy połyskiwały swą przeczystą, modrą głębią, by z wszystkiego, co nas otacza, biło piękno życia i słoneczna pogoda, w której dusza może nurzać się swobodna, beztroska.

A teraz stańmy na szczycie w zimie. Poprzez zaspy śniegowe szła nasza droga. W śnieżnym nasypie szczytu wygrzebujemy dół, by schronić się przed lodowatym powiewem wiatru i patrzymy... Nad nami nieruchoma, jakby szklana kopuła błękitu, wokoło skrzące się od słońca i mrozu wierchy. W urwiskach turni znaczą się czarne plamy skał, na których śnieg nie może się utrzymać, pozatem wszystko zaściela biały całun zimowy. Znikła szarość piargów, zginęły modre stawy, zasypane hale jedynie ciemnymi punkcikami szałasów mówią o juhaskiem życiu, jakie tam latem płynie; lasy znieruchomiały w dali i przybrały granatową jednostajną barwę. Nie śmieją się do nas wśród nich kwietne polanki, nie szklą się już i nie srebrzą potoki, nie huczą siklawice. Nie słychać hukania juhaskiego i zberczenia dzwonków. Zima wygnała z gór ludzi i rzuciła na skalną krainę majestat ciszy i śmierci... Myśl, wysłana ku szczytom, poi się na chwilę ich przeczystą, nieskalaną, bielą, niebawem jednak powraca do człowieka zniechęcona, nieukojona. Oto widzi, że otaczające nas śnieżne grody, to nie owe wierchy po których graniach wędrowaliśmy swawolnie latem, to jakieś obce potęgi, przyoblekłe w grozę, niedostępne. Białymi krychami żlebów, zaspami i nawisami mówią one o czy-

hających tam niebezpieczeństwach, wobec których człowiek może być zupełnie bezsilny. Wola ludzka czuje się skrępowaną tem, że ciągle stają jej w drodze nakazy: tam śniegi za głębokie, tam szkliwo lodowe na skałach, tam zbocza lawiniaste. Surowa dłoń mrozu każe nam przytem rychło zerwać się w drogę powrotną, tem bardziej, że trzeba przed nocą dotrzeć do schroniska, aby uniknąć możliwości noclegu w śniegach. Momenty te rozbudzają coraz silniej świadomość chwili, aż zburzą cichą kontemplacyę szczytową poczuciem, że człowiek obcy jest temu światowi mrozów i ciszy śmiertelnej, który go chce od siebie odpędzić; zrozumieniem bezsilności, niemocy woli, która często nie może przełamać przeszkód zimy. Dlatego też w tych warunkach zatopienie się całą duszą w otoczeniu jest niemożliwe, a tem samem zima nie może dać nam tego nieporównanego uczucia, jakie zdobywamy latem. I w tem leży jądro kwestyi. Górski krajobraz zimowy — jest niewątpliwie przepyszny; swą olśniewającą jaskrawością sprawia często wrażenie jakiejś nierzeczywistej ułudy, wizyi, i posiada swą odrębną poezyę; przez specyalne jednak czynniki, budzące niejako w człowieku konieczność samoobrony — nie tylko nie pozwala zlać się z sobą w zupełnej harmonii, lecz wyodrębnia człowieka jako podległy innym prawom świat. Z kwestyą tą w ścisłej pozostaje łączności pojęcie swobody górskiej. Narciarz, powtarzają często wielbiciele zimy — (mówię tu o narciarstwie, ponieważ prawie wyłącznie w niem wyładowuje się energia naszych taterników) — jest panem gór: przed nim ścielą się białe stoki, po których może bujać swobodny, żadnemi drogami nie związany; może upajać się zawrotnym pędem, lotem błyskawicy mijając ogromne przestrzenie, które latem trzeba w mozole przebywać. Jest w tem trochę prawdy, ale jest i dużo przesady, odurzania się pięknymi frazesami. Każdy, kto chociaż powierzchownie poznał Tatry w zimie, ten wie doskonale, iż terenów takich, gdziebyśmy na oślep mogli się powierzyć pędowi naszych nart, jest tutaj niewiele, a te, które są, ściągają z tego powodu już za wiele gawiedzi narciarskiej. Na poważniejszych wyprawach szczytowych zjazd jest naogół sztuką, w której nie tylko odwaga, lecz przedewszystkiem rozwaga główną gra rolę. Puszczanie się na łeb na szyję wprost w dół jest tutaj waryactwem, które wcześniej czy później kiepsko się kończy. Na skałkami pooranych, stromych zboczach trzeba lawirować ostrożnie i powoli, w każdym momencie panując nad nartami i co pewien czas przystając; w kotłach, w które uchodzą leje żlebów, na płaskich uboczach obciążonych lawiniastym śniegiem musi się człowiek przekradać w napięciu nerwów, chytrze szukając najbezpieczniejszego szlaku. A gdy znajdziemy się w słabo przysypanych kosówkach lub w bezdrożnym lesie, wówczas przeprawa na nartach staje się istną mordęgą. Dodajmy do tego świadomość, że jesteśmy zależni w ogromnym stopniu od warunków śniegowych, od schronisk, do których musi się na porę dotrzeć, dodajmy poczucie wściekłości i bezsilności, gdy nieraz padnie nam bez nart grzebać się w śniegach po pas — a okaże się, że owa swoboda narciarza istnieje więcej w literackich produkcyach, niż w rzeczywistości.

Inaczej latem. W lecie dają Tatry istotnie ową możność zaprzepaszczenia się w tym oderwanym od reszty ziemi świecie, zagubienia się w kotlinach i turniach bez troski o to, co nas czeka i co nas spotka. Wędrujemy sobie dolinami wśród pełni życia, przy wesołym pogwarze potoków; zwabi nas jaka jasna polanka, możemy na niej wypocząć, bo wiemy że nas nie wyżenie stąd mróz i konieczność pośpiechu. Dopadnie nas tu noc, spędzimy ją sobie przy watrze wesoło i spokojnie. Chcemy wieść koczownicze życie, mamy zaciszne zakątki, gdzie tylko słońce zagląda; dążymy na szczyty, wokoło piętrzy się mnóstwo wierchów nie grożących zaspami i lawinami,

nie narzucających nam przeto żadnych dyrektyw w wyborze drogi. Zaskoczy nas noc w turniach, i tę bez biedy można przebyć. Nic tu nie więzi i nie odbiera poczucia wolności nam, sługom zazwyczaj obowiązkowości i czasu na godziny podzielonego. I to jest drugi wzgląd, dla którego przenoszę lato górskie nad zimę. Nie znaczy to, bym chciał być wobec zimy niesprawiedliwym, bym za mało starał się odczuć jej odrębny urok. Refleksye powyższe wypłynęły nie z chęci polemiki, lecz z nastrojów, odczutych w czasie zimowych wycieczek, z myśli, które zrodziły się wśród mroźnej krainy śniegowej. Uświadomiły mi one, że Tatry w lecie i w zimie to dwa odrębne światy, oddziałujące na odmienne sfery uczuć. Bez znajomości jednego nie zrozumielibyśmy istoty drugiego, jak nie pojęlibyśmy treści życia bez wniknięcia w jego odwrotność — śmierć; lecz głosić piękno zimy, a obojętnie odnosić się do czaru gór w lecie — znaczy to, że się jest dalekim od zgłębienia węzłów łączących człowieka z przyrodą.

Mieczysław Świerz.

25-lecie Węgierskiego Towarzystwa Turystycznego *).

Dnia 28 marca b. r. obchodziło Węgierskie Tow. Turystyczne (Magyar Turista Egyesület) piękną uroczystość: święciło 25-tą rocznicę swego powstania.

Korzystając z tej sposobności, rzućmy okiem wstecz na bogatą przeszłość towarzystwa, dzięki której zapisało się ono złotemi głoskami w historyi rozwoju węgierskiej turystyki, i spróbujmy przedstawić w króciutkim zarysie, w jakim stopniu wypełniło ono podjęte przez siebie zadania.

W początkowych latach swego istnienia towarzystwo działało jako Budapeszteńska Sekcya Węgierskiego Tow. Karpackiego. Od r. 1891 pracuje samodzielnie jako organizacya zupełnie odrębna. Z tą chwilą poczyna ukazywać się organ towarzystwa „Turisták Lapja", którego wydawanie oznacza punkt zwrotny w dziejach turystyki węgierskiej. Był on pierwszym prawdziwym impulsem do powstania węgierskiej literatury alpinistycznej. Wychodzi do dzisiaj 6 razy w roku z ciekawą treścią i licznemi ilustracyami.

Pierwszą swą czynność zwróciło towarzystwo ku otwarciu i spopularyzowaniu krajobrazowo bardzo pięknych okolic Budapesztu. Wydało mapy turystyczne i przewodniki, wyznaczyło i wybudowało drogi, zainicyowało wycieczki tygodniowe. Najwięcej jednak do niespodziewanego rozrostu ruchu turystycznego w otoczeniu stolicy Węgier przyczyniło się zbudowanie przez Zarząd główny schroniska w górach Pilisz. W r. 1897 otwarto dla turystów na najwyższym ich szczycie Dobogókö domek służący równocześnie za stacyę meteorologiczną. W r. 1906 stanął w sąsiedztwie starego schroniska, drugi, nowocześnie urządzony budynek, którego koszta przeniosły 30.000 koron. O znaczeniu schroniska świadczą najlepiej cyfry: w książce schroniskowej zapisało się w r. 1898 osób 625; w roku 1905

*) Z okazyi 25-letniego jubileuszu Węg. Tow. Turystycznego umieszczamy niniejszy artykuł, pióra p. A. Grósza, informujący o dotychczasowej działalności towarzystwa. *Przyp. Red.*

osób 1616, a w r. 1913 osób 3392. Ze szczytu roztacza się wspaniała panorama wokoło, stanowiąca ważny czynnik przyciągający. Schronisko zagospodarowane jest latem i zimą, w czasie której odwiedzają je liczni narciarze.

Lecz Węgierskie Tow. Turystyczne nie działa tylko na ściśle określonym obszarze; polem jego pracy są całe Węgry. W tym celu rozpada się ono na szereg Sekcyi, na których leży główny ciężar czynności. Sekcye te posiadają specyalne tereny działania, głównie w Karpatach węgierskich i troszczą się o podnoszenie i ułatwianie ruchu turystycznego przez budowę w odnośnych okolicach altan, schronisk i dróg.

Wyliczenie zasług poszczególnych Sekcyi zawiodłoby nas za daleko, zwracamy się więc głównie ku temu obszarowi, który najbliżej serca naszego leży, ku Tatrom.

Wysoko, w śnieżnym kotle Pięciu Stawów Spiskich, u stóp dumnego Lodowego, Durnego i Pośredniej Grani — wymownie o działalności towarzystwa świadczy schronisko im. Téry'ego, otwarte dla użytku publicznego w r. 1899, a wzniesione kosztem 18.669 kor. (późniejsze naprawy wyniosły jeszcze kilka tysięcy). Schronisko posiada 4 pokoje, kuchnię oraz wielką jadalnię i jest zagospodarowane przez sezon letni.

Z licznych dróg Sekcyi Tatrzańskiej (siedziba w Kiezmarku) uwzględnić w pierwszej linii należy ścieżkę przez Dolinę Staroleśną na Rohatkę i do Dol. Świstowej, ścieżkę od Hotelu pod Kozicą do Pięciu Stawów Spiskich i od Zielonego Stawu Kiezmarskiego na Jagnięcy Szczyt.

Wielkie znaczenie dla turystyki tatrzańskiej posiadał fakt, iż kierownicy i członkowie towarzystwa byli wybitnymi taternikami i alpinistami. Godność pierwszego prezesa piastował Eötvös Lóraut, zdobywca Croda da Lago w Dolomitach i autor wielu pierwszorzędnych wycieczek w Tyrolu. Po nim na czele towarzystwa stanął Téry Ödön (Eugeniusz), który zwiedził jako pierwszy Pośrednią Grań, Durny i Poślednią Turnię, a także przez szereg innych przejść przyczynił się do turystycznego odkrycia Tatr. Po r. 1890 wystąpili dr. Jármay László, Petrik Ludwik, Déry Józef, dr. Jordan Karol, Döri Juliusz i inni, którzy zdobyli szereg szczytów i turni i odkryli wiele nowych dróg. Po r. 1905 poczyna działać w Tatrach młoda generacya taterników węgierskich, która w całości niemal należy do Węgierskiego Tow. Turystycznego.

W ten sposób towarzystwo stało się pionierem turystyki, stworzyło prasę turystyczną, zdobywając dla niej szerokie koła czytelników, odkryło dla ogółu wiele nieznanych okolic, przez budowę stacyi meteorologicznych dorzuciło cegiełkę do badań naukowych, a przez uroczystości urządzane corocznie w czasie świąt Bożego Narodzenia, podczas których zbiera się składki na ubogie dzieci, stało się jednym z organów dobroczynności.

W roku zeszłym, kiedy powstał Krajowy Związek Turystyczny, towarzystwo przygotowało dla niego teren. Obecnie pracuje gorliwie nad węgierskim „Bädeckerem", które to dzieło, redagowane przez najlepszych autorów, zbliża się już ku końcowi.

Byłoby niewdzięcznością pominąć tutaj zasługi obecnego przewodniczącego dra Thirringa Gustawa, który objął kierownictwo, kiedy towarzystwo przechodziło wewnętrzne przesilenie, zreorganizował je, pozyskał wielu nowych współpracowników, jest niestrudzenie czynny i stara się, by towarzystwo w najbliższem 25-leciu jeszcze piękniej zakwitło.

Dałby Bóg, aby tak było i aby nowe 25-lecie wzbogaciło i rozwinęło turystykę świeżemi zdobyczami.

Alfred Grósz.

Z TATR.

W przeciwieństwie do dwu ostatnich lat, wykazujących prawie zupełny zanik zimowej turystyki, tegoroczna zima nadspodziewanie dodatnio zapisała się w historyi naszego taternictwa. O intenzywności ruchu zimowego w ostatnim sezonie świadczy wielka stosunkowo ilość nowych wyjść, liczniejsze niż poprzednio powtórzenia dróg zwiedzonych, oraz fakt, że w wycieczkach wzięły udział szersze koła młodych narciarzy-taterników. Liczba poważnych wypraw byłaby niewątpliwie jeszcze pokaźniejsza, gdyby w stosunku do wycieczek tatrzańskich nie zarysował się w narciarstwie pewien charakterystyczny zwrot. W latach ubiegłych Tatry były dla narciarzy zachodnio-galicyjskich prawie jedynym terenem; w roku bieżącym ogromny procent wycieczek skierował się w inne grupy Karpat, a zwłaszcza w nieznane partye Beskidów, w Gorce, grupę Fatra i Niżnie Tatry. Jakkolwiek uszczupliła się przez to liczba wycieczek tatrzańskich, to jednak zwrot ten podkreślić należy z uznaniem, zapobiedz on bowiem może jednostronności i brakowi inicyatywy, które w ostatnich latach dotkliwie odczuć się dawały wśród kół taternickich.

Tegorocznym wycieczkom sprzyjała pogoda, która w styczniu, lutym i kwietniu była wprost nadzwyczajna, oraz małe ośnieżenie, pozwalające na skalne przejścia, w innych warunkach bardzo ryzykowne. Dopiero w kwietniu spadły w Tatrach głębsze śniegi, tak, że wycieczki narciarskie z początkiem maja posiadały jeszcze zupełnie zimowy charakter. Specyalnymi rysami tegorocznego sezonu były przejścia przełęczy oraz fakt wyjścia poza granice Tatr Polskich i Zachodnich. Ze szczytowych powtórzeń na uwagę zasługują: zwiedzenie Koziego Wierchu (L. Leszko W. Majewski i W. Skibniewski 1/II b. r.), Świnicy (L. Kowalski, M. Kozłowski i M. Świerz 8/II), Rysów (od płd. A. Ferens i W. Pawlica 20/II), Furkotu i Hrubego (J. Lesiecki i J. Oppenheim 14/IV), Rumanowego (II wyjście, ci sami 12/IV). Charakterystyczną była wreszcie wycieczka pp. J. Dembińskiego i A. Siermontowskiego (częściowo z p. Stefanem Porębskim), w dniach 8–19 marca, która nie przyniosła wprawdzie wybitniejszych wyników (zwiedzono Kamienistą, Zawory, Basztę Skrajną, Małą i Przednią, Rohatkę (prz.) i Turnię nad Rohatką), trwała jednak 12 dni, była więc nowym typem włóczęg zimowych. Nowe wyjścia zimowe wyszczególniamy osobno.

W rozwoju narciarstwa ważnym szczegółem byłoby zorganizowanie się górali w Sekcyę Narciarską (przy zakopiańskim Związku Górali), któraby mogła wyszkolić przewodników zimowych, posiadających wyższą technikę narciarską. Niestety przewodnicy trzymają się zdala od narciarstwa, a pierwsze wystąpienia górali-narciarzy miały charakter nie turystyczny, lecz wybitnie sportowy, zawodniczy (w głównych zawodach Tatrz. Tow. Narciarzy górale wzięli udział pod znakiem Sekcyi Narciarskiej T. T.). Pozatem towarzystwa narciarskie rozwijały normalną działalność, urządzając kursy, zawody i wycieczki; oprócz zwykłych udogodnień dla narciarzy, nowych urządzeń w Tatrach na tem polu nie mamy do zanotowania.

Co do ruchu zimowego po południowej stronie Tatr, to zaznaczyć wystarczy, że impet taterników węgierskich w tym sezonie zmniejszył się znacznie.

Nowe wyjścia i przejścia zimowe:

1/I 1914 S. Bujwid, K. Piotrowski i H. Trzebicki wychodzą na Walentkową (I w. z.) od Przełęczy Gładkiej.

6/I J. Kulczycki, J. Maurizio, J. Meissner i T. Wasilewski: I w. z. na Ciemniak od Tomanowej Przełęczy.

2/II L. Leszko, W. Majewski i W. Skibniewski przechodzą przez Gładką Przełęcz, Zawory, Cichy Wierch, Kopę Koprową na Krzyżne Liptowskie (I prz. zim).

Tegoż dnia W. Mostowski, K. Piotrowski i St. Sierakowski zwiedzają Kopę Lodową (I w. z.) i dokonują (na nartach) I przejścia w zimie Przełęczy Lodowej.

4/II E. Katai i dr. G. Komarnicki zwiedzają Żółty Szczyt (I w. z.), płn.-zach. wierzchołek Pośredniej Grani (I w. z.) i Pośrednią Grań.

Tegoż dnia J. Lesiecki i J. Oppenheim wychodzą na Młynarza (I w. z.).

5/II Ci sami zwiedzają Żabi Niżni (I w. z;

wyjście z Dol. Żabich Stawów Białczańskich, zejście do Morskiego Oka).

6/II Ci sami oraz M. Zaruski i S. Zdyb zwiedzają Rysy Niżnie (I w. z.).

7/II Dr. W. Skórczewski z przew. Stanisławem Byrcynem przechodzą na nartach przez Wrota Chałubińskiego (I w. z. i prz.).

8/II H. Bujwidówna i K. Piotrowski przechodzą na nartach z Morskiego Oka przez Wrota Chałubińskiego, Zawory, Liliowe do Zakopanego.

8/II A. Grósz i Z. Neubauer zwiedzają Dyablą Turnię (I w. z.) i Dyablowinę (I w. z.).

14/II W. Mostowski i K. Piotrowski przechodzą przez Wschodnią Przełęcz Żelaznych Wrót z Kaczej Dol. do Popradzkiego Jeziora.

15/II S. Dębicki, J. Giżycki, J. Lesiecki, L. Loria, J. Oppenheim i M. Zaruski wychodzą na Mięguszowiecki nad Czarnym od Czarnego Stawu (I w. z. od pn.).

23/II W. Majewski i J. Przyborowski zwiedzają Wielki Baraniec (I w. z.).

8/III J. Grabowski z tow.: Siwy Wierch (I. w. z.).

6/IV Müller z tow.: Spiska Grzęda (I w. z.).

11/IV A. Grósz i F. Zuber wychodzą na Rumanowy Szczyt (I w. z.).

12/IV J. Dobrovics, dr. J. Serényi i Z. Votisky: Drobna Turnia (I w. z.). Sokola Turnia (I w. z.) i Spąga (I w. z.?).

12/IV. Pn. G. Smidt i F. Barcza zwiedzają najwyższą turnię Baszty Zadniej (I w. z.).

13/IV. J. Lesiecki i J. Oppenheim wyszli na Zmarzły Szczyt i przeszli granią na Kaczy (I w. z.).

14/IV. Ci sami przechodzą przez Przełęcz Furkotną (zwiedzając przy tej sposobności Furkot i Hruby) z Dol. Furkotnej do Dol. Koprowej.

NOTATKI

Formularze. Według corocznego zwyczaju dołączamy do niniejszego numeru formularze na wykaz wycieczek, odbytych przez członków Sekcyi Turystycznej w roku 1913, z prośbą o wypełnienie tychże i nadsyłanie pod adresem redakcyi (Kraków, Dębniki, Rynek 4) najpóźniej do dnia 30 czerwca.

Prenumerata „Taternika“ została zniżoną dla członków Tow. Tatrzańskiego na 3 kor. Przedpłatę należy nadsyłać pod adresem Administracyi: Kraków, ul. Andrzeja Potockiego 4. (biuro Tow. Tatrz.).

Zarząd Sekcyi przypomina. iż wkładkę do Sekcyi Turystycznej na r. 1914 należy przesyłać na ręce skarbnika p. W. Kulczyńskiego (Kraków ul. Niecała l. 1.) do końca czerwca b.r., gdyż inaczej wstrzymaną zostanie wysyłka „Taternika“.

Dworzec Tatrzański w Zakopanem opróżniła z dn. 1-go stycznia b. r. Szkoła zawodowa przemysłu drzewnego, przez co stało się zadość wielokrotnie wypowiadanym życzeniom Sekcyi T. T. Obie sale na dole i jeden pokój na górze zajęło Towarzystwo Biblioteki Publicznej, resztę ubikacyj oddano do użytku Sekcyom Tow. Tatrz., które posiadają prawo korzystania w oznaczonych terminach z dużej sali na odczyty i zebrania. Członkowie Tow. Tatrz. mają, za okazaniem legitymacyi, wolny wstęp przez cały rok do Czytelni Publicznej.

Stacya meteorologiczna na Hali Gąsienicowej. Ruchliwa Sekcya Przyrodnicza T. T. założyła w początkach grudnia u. r. na Hali Gąsienicowej pierwszą w Tatrach wysokogórską postrzegalnię meteorologiczną. Stacyę zaopatrzono w odpowiednie samopiszące przyrządy, które umieszczono w żaluzyowej budce angielskiej. Zapiski, wyjmowane co tydzień, umożliwią poczynienie ważnych obserwacyj co do warunków klimatycznych Hali. Podkreślić należy, że stacya powstała dzięki prywatnej ofiarności, ani bowiem rząd, ani nasze instytucye naukowe nie chciały przyczynić się finansowo do jej utworzenia.

Czasopismo „Zakopane“, wychodzące od 6-ciu lat, przeszło z dniem 1-go stycznia 1914 r. na własność Zakopiańskiej Spółki Wydawniczej i ukazuje się pod redakcyą Komitetu, w skład którego wchodzą również delegaci Sekcyi Tow. Tatrz. Redakcyę naczelną objął dr. Józef Diehl. Sekcyę Turystyczną, posiadającą w Spółce Wyd. udziały. reprezentuje w komitecie dr. Jerzy Żuławski.

XLIII Walne Zgromadzenie członków Towarzystwa Tatrzańskiego odbyło się w Krakowie dnia 25. kwietnia b. r. przy niezwykle licznym udziale uczestników. Posiedzenie zagaił Przewodniczący, prof. dr. Szajnocha streszczając działalność towarzystwa w roku sprawozdawczym, poczem rozwinęła się obszerna dyskusya nad sprawozdaniem. Domagano się w niej reorganizacyi i ożywienia działalności Oddziałów T. T., przeciwdziałania zalewowi turystyki niemieckiej w Beskidach, oraz intenzywniejszego zajęcia się innemi górami

polskiemi poza Tatrami. W tym duchu przyjęto kilka rezolucyi. Po uchwaleniu Wydziałowi absolutoryum wraz z wyrazami uznania, zatwierdzono preliminarz budżetu na rok następny, przewidujący dla Sekcyi Turystycznej subwencyę w wysokości 500 kor.

Następnie przystąpiono do wyborów części Wydziału, które dały następujący wynik: II wiceprezesem na lat 3 obrano przez aklamacyę prof. dr. W. Kulczyńskiego. W skład Wydziału weszli na trzy lata pp.: Mieczysław Białkowski, Stanisław Krawczyk, dr. Stefan Komornicki, dr. Jan Nowicki, Stanisław Porębski; na dwa lata p. Leopold Winnicki.

Z uchwał Zgromadzenia na wyszczególnienie zasługują: zatwierdzenie wniosku o przeniesienie miejsca planowanego schroniska z Czarnego Stawu na Halę Gąsienicową; przeznaczenie pewnego procentu z dochodów Towarzystwa na fundusz rezerwatów i utworzenie straży górskiej dla ochrony kozicy i świstaka w Tatrach; zatwierdzenie statutów Oddziału „Gorce" w Nowym Targu i Sekcyi Przyjaciół Zakopanego, uchwalenie wydania ilustrowanego Przewodnika po Karpatach Wschodnich.

Jadwiga Bachledowa, wdowa po śp. Klimku Bachledzie zmarła w Zakopanem dnia 19-go marca b. r.

† Stefan Laufer. Dnia 21-go kwietnia b. r. zmarł wskutek tragicznego przypadku jeden z wybitnych taterników węgierskich — Stefan Laufer. Podczas ćwiczeń w skokach do tegorocznych zawodów narciarskich, odbytych dn. 18 stycznia w Körmöebanya, Laufer skaleczył się lekko kijkiem w nogę. Niedostatecznie wyczyszczona ranka zaogniła się i spowodowała zakażenie krwi, któremu Laufer, po długiej i uporczywej walce, musiał ostatecznie uledz. Należąc do ożywionych szczerym zapałem taterników, zapisał się w kronikach tatrzańskiej turystyki szeregiem pięknych wycieczek odkrywczych, tak letnich jak i zimowych; poza Tatrami dokonał wielu wypraw w Alpach Tyrolskich i Szwajcarskich. W głębokim żalu kolegów węgierskich łączy się tedy i polski świat tatemicki, któremu sympatyczna osobistość Laufera dobrze była znaną.

Z PIŚMIENNICTWA.

Walter Schmidkunz. Kochbuch für Bergsteiger, Touristen, Skiläufer, Wandervögel. II. vermehrte Aufl. München 1913.

W nakładzie znanej firmy wydawniczej „Deutsche Alpenzeitung" — wyszło niedawno drugie wydanie tej niewielkiej, ale bardzo zmyślnie napisanej i praktycznej książki kucharskiej dla turystów. Wybór potraw, które naturalnie obliczone są na gotowanie prymitywnymi środkami, na maszynce spirytusowej lub przy ognisku, jest zdumiewająco bogaty, książeczka bowiem zawiera przeszło 150 recept, zaczynając od obowiązkowej „grochówki", a kończąc na sorbetach i „lodowcowych" lodach wanillowych. W dodatku znajdujemy kilkanaście przepisów potraw najprostszych i najłatwiej przyrządzalnych, na wypadek, gdy brak czasu i materyału na porządne gotowanie.

Z książeczki tej z przyjemnością będzie korzystał każdy turysta i narciarz, przedewszystkiem ten, który zwykł zwiedzać góry nietylko w otoczeniu zagospodarowanych schronisk. *-rk.*

A. Fischer: Hochgebirgswanderungen in den Alpen und im Kaukausus. Frauenfeld 1913.

Książka ta jest jedną z najciekawszych i najpiękniejszych, jakie ukazały się w ostatnich latach w literaturze alpinistycznej. Ciekawą, niezwykłą jest przez nastrój, który ją owiewa: opisy pierwszorzędnych wypraw górskich płyną tak spokojnie, cicho i poważnie, jak to odpowiada majestatowi gór, pojętemu w duchu pierwszych ich, wielkich zdobywców: Tyndalla, Whympera i im podobnych; ani śladu w nich chełpliwości, wrzasku o wielkości swoich czynów, tak pospolitego u wielu dzisiejszych pisarzy alpinistycznych. I w tej prostocie i powadze uzyskuje Fischer to, co może najbardziej i najżywiej w opisie górskiej wyprawy działa: dramatyczną siłę. Większość opowiadań czyta się, jak dramat o potężnej ekspresyi, którego tłem góry, treścią walka człowieka z niemi, przechodząca całą olbrzymią skalę najsilniejszych wzruszeń, do jakich człowiek jest zdolny, a finał zwykle wielkie zwycięstwo, w którego upojeniu wybucha autor słowami naj-

większej miłości, uwielbienia i ukorzenia się przed niezgłębionym majestatem gór.

Już sam wstęp książki: życiorys Andrzeja Fischera (pióra towarzysza jego wypraw górskich E. Jenny'ego) nastraja nas na nutę podziwu dla tej niezwykłej postaci. Od urodzenia Fischera, aż do jego tragicznej śmierci wyciskają góry na jego życiu piętno decydujące: syn słynnego przewodnika alpejskiego z Grindelwald'u wzrasta w atmosferze wielkich czynów alpinistycznych, spełnianych przez najwspanialsze postacie dziejów zdobycia Alp. Śmierć ojca w straszliwych szczelinach lodowca Brouillard na Mont-Blanc, śmierć brata, również przewodnika w fatalnej wyprawie na Dych-Tau w Kaukazie [1]), nie tylko nie gaszą miłości do gór, jaka płonie w duszy Fischera, ale zestalają jego nieustraszone serce w odwadze i wytrwałości, jakich równych niewiele znajdujemy nawet w historyi zdobycia Alp. Rzecz przytem niezmiernie charakterystyczna, że Fischer, wybiwszy się wielkiemi zdolnościami na doktora filozofii i autora wybitnych literackich rozpraw — pozostał w duszy wierny tradycyi rodzinnej i jako patentowany przewodnik p r o w a d z i ł szereg wypraw kaukaskich i alpejskich, które wreszcie pasmo życia jego gwałtownie przecięły, jak zabrały jego ojca i brata.

Trudno wdawać się w krótkiej recenzyi w obszerniejszy rozbiór artykułów zawartych w „Hochgebirgswanderungen". Z opisów licznych wspaniałych wypraw górskich w Berner Oberland'zie, grupie Mont-Blanc, Alpach Wallijskich, Delfinacie — (Fischer był głównie „lodowcowym" turystą, a nie wspinaczem skalnym) interesuje szczególnie opis pierwszego wyjścia zimowego na Finsteraarhorn (w 1896 roku), artykuł o sposobie dzisiejszego zwiedzania Matterhorn'u i opowiadanie o trawersowaniach Erins i Meije. Szczególnie w tych dwóch ostatnich artykułach, jak również w ogólnych rozprawach „Na lodowcach" i „Niebezpieczeństwa i technika alpinizmu" (zagajenie dyskusyi na ten temat w „Schweizer Alpen-Club") ujawnia się sposób traktowania gór szlachetnego Szwajcara: przemawia do nas miłośnik samotności, biwaków podniebnych, ciszy i spokoju w górach, zwolennik potężnego zmagania się z siłami przyrody aż do ostateczności, ale z równoczesnem zachowaniem jaknajwyższej przezorności i opanowania siebie, wróg dominującego we współczesnym alpinizmie hałasu i krzyku, współzawodnictwa na śmierć i życie, całego „cywilizacyjnego" prądu z jego kolejkami górskiemi [2]), hotelami, bandami zalewającego góry motłochu turystycznego — słowem typ idealny alpinisty „starej daty", który dziś stroni coraz bardziej od części gór dotkniętych przez cywilizacyjne „dobrodziejstwa", a ucieka w dzikie zakątki, gdzie jeszcze może użyć w pełni rozkoszy obcowania z nietkniętą przyrodą. — Takimi dzikimi zakątkami były dla Fischera umiłowane przez niego Alpy Delfinatu, takim Kaukaz, który zwiedzał kilkakrotnie. Opowiadaniu o ostatnich wyprawach kaukazkich (1904 r.) poświęcony jest obszerny artykuł, w którym każdy znający cudowne bogactwo i czar odrębny, a nieporównany przyrody Kaukazu — podziwiać może prostotę, trafność i piękno jej opisów.

Ostatni ustęp książki, znowu pióra Jenny'ego, poświęcony jest opisowi ostatniej wyprawy i śmierci Fischera na Aletschhorn'ie. Sprawozdanie to czyta się z zapartym oddechem. Przeżycia takie silne: wyjście rano w piękną pogodę, burza śnieżna na zdobytym po ciężkiej pracy szczycie, po licznych bezskutecznych próbach zejścia biwak w śnieżnej jamie na wielkiej wysokości, drugiego dnia odwrót w czasie jeszcze silniejszej burzy, w stanie zupełnego wyczerpania. I już, już kształtuje się zejście, niemal pomyślne i trzej uczestnicy wyprawy, stary przewodnik Almer, Fischer i Jenny wydostaliby się ze szponów orkanu i unieśli w dół wspomnienie jednego więcej groźnego, potężnego, przeżycia w górach, — gdy „świsnęła cięciwa śmierci" i ślepy los wyrwał z pośród spadających śnieżnem, stromem zboczem, Szwajcarów ofiarę: bohaterskiego Fischera, którego odwaga, poświęcenie i nieustraszoność jaśniały jeszcze chwilę przedtem w całym swym niezwykłym blasku!

W. Goetel.

Zima i narty. W y d a w n i c t w o K a r p. T o w. N a r c i a r z y. Lwów 1913/14.

Karpackie Tow. Narciarzy we Lwowie, wy-

[1]) Fischer brał udział w znanej wyprawie poszukiwawczej za zaginionymi na Dych-Tau wraz z Dent'em i Freshfield'em.

[2]) Fischer był jednym z najzaciętszych ich wrogów

chodząc ze słusznego założenia, iż najlepszym środkiem propagandy narciarstwa jest, nie szerokie rozpisywanie się w sprawozdaniach o swej działalności i zdobyczach, lecz poinformowanie w sposób interesujący ogółu o znaczeniu nart i pięknie przyrody zimowej, wydało przed kilku miesiącami wytworną, w formie ozdobnego albumiku broszurę o nartach i zimie. Charakter takiej broszury pojąć można było dwojako: albo książeczkę przeznaczyć dla ogółu naszych narciarzy i uwzględnić całe polskie narciarstwo w różnych częściach kraju, albo też ograniczyć się do terenu działania danego towarzystwa i w tym wypadku zająć się ściśle określonym obszarem. Broszura K. T. N. nosi ten drugi charakter. Wprawdzie tytuł brzmi bardzo ogólnie, a przez 4 ryciny i wiersz J. Żulawskiego kokietuje z Tatrami, pozatem jednak o Tatrach niema tam ani słówka, a artykuł Rickmer-Rickmers'a opisujący, jak wiadomo, wycieczkę w Karpaty Wschodnie i w Tatry, obcięty został w części odnoszącej się do Zakopanego. Zyskała może na tem broszura na spoistości, straciła przecież na swem ogólnem znaczeniu.

Treść broszury (zredagowanej przez R. Kordysa) otwiera piękny sonet Jerzego Żuławskiego: „Zjazd tatrzański", po którym następuje artykuł Rickmersa o wycieczce w Karpaty Wschodnie, słaby pod względem formy, znamienny jednak przez nadzwyczaj pochlebne świadectwo, które ten świetny znawca narciarstwa wystawia karpackim terenom i sprawności turystycznej lwowskich narciarzy. Artykuł A. Szczepańskiego: „Wiosna i narty" to swobodne, z humorem i temperamentem napisane opowiadanie o przygodach i wrażeniach narciarskich z marcowej wycieczki na Pietrosa. Pozwala ono bliżej poznać wewnętrzne życie „Ka-te-eńców", lecz z tego względu przeznaczone jest raczej dla zamkniętego koła, któremu znana jest tajemnicza nomenklatura osób, o jakich mowa. Główne zadanie broszury wypełnia artykuł Kordysa: „O zimie i o nartach", podający dokładne wskazówki co do nart, ubrania i początkowej nauki narciarskiej. Napisany bardzo interesująco, malując barwnie urok narciarstwa, pozyskać może wielu nowych zwolenników dla tego pięknego sportu. Zakończenie książeczki stanowią informacye o kursach urządzanych przez K. T. N. w r. 1913/14.

Na szczególne podkreślenie zasługuje wytworna forma zewnętrzna broszury i szata ilustracyjna. Mnóstwo pięknych, w części winietkowo traktowanych, ilustracyi, odbitych na kredowym papierze, naocznie wskazuje czytelnikowi, że słowa zachwytu dla zimy, któremi przepełnione są stronice broszury, nie są przesadą i czczym frazesem. Jedynie korekta pozostawia dużo do życzenia (zwłaszcza w sonecie Żuławskiego fatalny błąd „morze wichrów spiętrzone").

Życzyćby sobie należało, aby podobnych albumików doczekały się także Tatry i Beskidy. *m.*

Illustrierter Führer durch Galizien. Von Dr. Mieczysław Orłowicz und Roman Kordys. Wien und Leipzig. A. Hartleben's Verlag 1914.

Nie zbyt to pochlebnie o poziomie naszego ruchu turystycznego świadczy, skoro pierwszy przewodnik po Galicyi ukazuje się w języku niemieckim, nakładem firmy wiedeńskiej. Fakt to tem bardziej znamienny, że wydawnictwo doprowadził do skutku specyalny komitet polski. Chodziło o to, aby obcym, przybywającym do Galicyi dać książkę informującą sumiennie i bezstronnie o naszym kraju i by w ten sposób sprostować uprzedzenia i mylne wyobrażenia zagranicy o tym kopciuszku krajów austryackich. Cel zupełnie słuszny, potrzeba nieulegająca wątpliwości. Czy jednak w tem liczeniu się ze skąpo zjawiającymi się obcymi podróżnikami, gdy ogromne masy rodaków z pod trzech zaborów pozbawione są podręcznika, oprowadzającego po najpiękniejszym, pełnym skarbów przeszłości i bogactwa przyrody, szmacie własnej ziemi— czy nie tkwi w tem smutny obraz niedoceniania się i lekceważenia samych siebie przy przesadnej wrażliwości na zdania obojętnych dla nas cudzoziemców? Tak samo gdy chodziło o wydanie w piśmie „Reise u. Sport" specyalnego numeru, poświęconego Galicyi, znalazł się komitet i materyały, kiedy zaś miano podobną publikacyę ogłosić w języku polskim, sprawa utknęła i upadła. Aby jednak nie być niesprawiedliwym, nadmienić trzeba, że analogiczny przewodnik polski, w opracowaniu dr. M. Orłowicza jest już w druku i niebawem wypełni tę dotkliwą lukę w naszej literaturze turystycznej. Dopóki nie pojawił się jeszcze, jedynym informatorem o Galicyi pozostaje i dla nas wydawnictwo niemieckie.

Zadanie to o tyle może ono dobrze spełnić, że tekst pochodzi od polskich autorów, których zasłużone na polu turystyki nazwiska dają rękojmię, że rzecz opracowaną została ze znawstwem i gruntownie. Oczywiście olbrzymi i dla braku danych tak trudny do zobrania — materyał nie może być bez omyłek i błędów, naogół jednak Przewodnik przedstawia się bardzo poważnie i sprawia wrażenie, że autorzy zrobili wszystko, co było w ich możności.

Przewodnik poprzedza wstęp, zawierający ogólne artykuliki, pióra wybitnych fachowców, o geologii, topografii, faunie, florze Galicyi etc. W szkicu geologicznym niezmiernie przykro uderzyło nas zdanie, iż najwyższym polskim szczytem jest Świnica, zaopatrzona kotą 2293(!). Cieszyć się winni Węgrzy, że po wyroku szwajcarskim oddajemy im sami Rysy i Mięguszowieckie Szczyty.

Ze szczegółowych opisów obchodzi nas na tem miejscu rozdział o Tatrach w opracowaniu R. Kordysa. Zarówno uwagi ogólne i informacye, jak też opisy najważniejszych przechadzek i bliższych wycieczek, ujęte w zwięzłem lecz wystarczającem streszczeniu, podał autor bardzo skrupulatnie. Z błędów najważniejszy dotyczy szczegółu, iż ścieżka na Zawrat wiedzie na prawo (zachód) od usypisk żlebu, błąd dający się wytłumaczyć chyba tylko przeoczeniem lub pośpiechem. Zwolennika ścisłego określania wysokości razić mogłoby nierozróżnianie między pomiarami aneroidowymi a sztabowymi (zwłaszcza w grani Orlej Perci).

Część ilustracyjna przewodnika przedstawia się bardzo dodatnio; ryciny dobrane odpowiednio i odbite czysto. Z tatrzańskich fatalne jest tylko Morskie Oko na str. 17, gdzie szczyty wyglądają jak niewinne pagórki. Do przewodnika dodano 3 mapy, z których miniaturowa mapka Tatr w skali 1:160000 czyni dość humorystyczne wrażenie.

Obok błędów jak Turkola (Furkot) w miejscu Hrubego, dwóch (!) „Frosch-Joch'ów" po obu stronach Rysów etc., mamy tu wesołą mieszaninę nazw polsko-niemiecko-słowackich, a więc obok Wielkiej Kopy — Križne, obok Capowski-Wald i Poroniec-Polana Łysą Polanę, obok Wielkiego Stawu Siklawa Wasserfall i t. d. Rodzi się też przypuszczenie, że pedantyczne oznaczenie w tej miniaturze wszelkich nawet altan określeniem „Schutzhütte" a szczególnie tłusty druk „hotelu" przy Morskiem Oku, rozumieć trzeba jako środek mający Niemców przekonać, że i w naszych Tatrach jest cywilizacya i że tu wszędzie piwa dostanie. *m.*

Jahrbuch des Ungarischen Karpathenvereins. XLI Jahrgang 1914.

Najnowszy rocznik Węgierskiego Tow. Karpackiego przedstawia się jeszcze marniej niż jego poprzednik i wskazuje, że również u Węgrów nastał obecnie prawie zupełny zastój w taternictwie. Na początku tomu znajdujemy dokończenie rozprawy dr. T. Possewitza pt. „Dawne czasy w Tatrach". Zawiera ono omówienie opisu wyprawy S. Hartlauba z r. 1835, pierwszego przewodnika tatrzańskiego Ruembola (r. 1842) oraz prac z lat 1860—70 Hildebrandta, Aschersona, Koristki i Fuchsa. Zalety i wady pracy, wskazane w recenzyi z pierwszej części (por. „Taternik" 1913 str. 81), rozciągają się i do tej części, tak, że nie będziemy się nią tutaj obszerniej zajmować. Ciąg dalszy tatrzańskiej bibliografii botanicznej, w opracowaniu S. Györffy'go zasługuje o tyle na wzmiankę w naszem piśmie, że autor bardzo pochlebnie ocenia w niej prace botaniczne naszych uczonych.

Jedyny taternicki artykuł, pióra A. Grósza dotyczy drugiego przejścia grani Świstowych Turni po Świstowy Szczyt w dwu samotnych wycieczkach. Wzbogaca on literaturę tej prawie zupełnie nieznanej partyi skalnej, lecz ponieważ sam objekt nie przedstawia większego interesu turystycznego, więc i opis nie mógł wypaść zajmująco i jedynie subjektywne przeżycia autora ożywiają monotonię lektury. Zamieszczone w rubryce „Drobniejsze wiadomości", tym razem przez A. Grósza dokonane — zestawienie nowych letnich i zimowych wycieczek za r. 1913 wskazuje dobitnie, jak znikomy był tegoroczny plon letni, ograniczający się prawie jedynie do mniejszego znaczenia waryantów. W recenzyach nie omówiono zupełnie polskiej literatury turystycznej, żadnej też wzmianki nie poświęcono 40-letniemu jubileuszowi Tow. Tatrzańskiego.

m.

MAGAZYN OKRYC DAMSKICH

L. FADEN

KRAKÓW, FLORYAŃSKA 26, I. PIĘTRO

POLECA

Ubrania sportowe dla Pań i Panów



JAKO PELERYNA.

SPECYALNOŚĆ!!

PELERYNA TATRZAŃSKA, :: LEKKA I CIEPŁA z NIEPRZEMAKALNEGO LODENU „HIMALAYA“. NIEZBĘDNA DLA WSZYSTKICH TURYSTÓW I SPORTOWCÓW.



JAKO PŁASZCZ

DLA CZŁONKÓW KLUBÓW I TOWARZYSTW SPORTOWYCH ODPOWIEDNIA ZNIŻKA.

WARSZAWSKI SKŁAD

PRZYBORÓW FOTOGRAFICZNYCH

KRAKÓW, ULICA SZEWSKA L. 2 :: :: :: TELEFON Nr. 1428

POLECA: **APARATY** FOTOGRAFICZNE I PROJEKCYJNE

ORAZ WSZYSTKIE PRZYBORY DO NICH. -- STAŁA PRACOWNIA PRZEŹROCZY, AUTOCHROMÓW, POWIĘKSZEŃ I T. D. — NA SKŁADZIE WSZYSTKIE NAJNOWSZE ULEPSZENIA W DZIALE FOTOGRAFII TURYSTYCZNEJ. :: ::

Drukarnia „Sztuka“, Kraków, Sobieskiego 16.